

DOBROWOLNY ROZBITEK

50 lat temu Jacek Pańkiewicz wpisał się w annały dziejów żeglugi, po raz pierwszy pokonując ocean niepokaźną szalupą ratunkową, bez sekstantu i łączności ze światem



Surowy sprawdzian w sztormowych warunkach na Atlantyku.

Jacek Pańkiewicz

Nie ma wyczynu bez ryzyka. Nie ma osiągnięć bez poświęcenia. Nawet dzisiejsi niby-wyczynowcy, walczący z cyfrowymi przeciwnościami losu, muszą poświęcić siedzeniu nad klawiaturą tysiące godzin, by robić to lepiej od innych.

Moja survivalowa gra o przetrwanie zaczęła się na światową skalę dokładnie przed 50 laty. I nie było w niej nigdy dróg na skróty. A rezygnacja często oznaczałaby po prostu wieczny spoczynek. 6 stycznia 1975 r. odbiłem pięciometrową szalupą z żaglem od mola portu w afrykańskim Dakarze. Pozostawiałem za sobą całą cywilizację, zdobycze techniki, kulturę, spory i nadzieje ludzkości. Wydałem się na pastwę Posejdon, aby bez radiostacji, sekstantu, zapasów i zabezpieczeń przepłynąć Atlantyk w charakterze dobrowolnego rozbitka.

Jako oficer pokładowy, nie mając za sobą szkoły morskiej, przez dwa lata pływałem na statkach

panamskich i liberyjskich, miałem wtedy możliwość wystuchać w wielu językach mrozących krew w żyłach opowieści o katastrofach i ich ofiarach. Chciałem dowiedzieć, że umiejętności poparte hartem ducha pozwalają zwielokrotnić szanse przetrwania nawet w najkoszmarniejszych warunkach.

Na co dobrowolnie się skazałem? Na 40 dni dzikich fal, wichrów, wilgoci i stoney skorupy zasychającej na całym ciele. Na rozmyślania o nadziei i sile, na modlitwę o kolejny sprzyjający dzień.

Ale los prócz osamotnienia i dyskomfortu szykował mi jeszcze odcinki specjalne, jak nazwaliby to ściągający się rajdowcy. Wielka, czarna chmura przestoniła horyzont, dzień zamienił się w wietrzną noc. Zygaki szklistych piorunów przecięły nieboskłon, a sztorm postawił kilkumetrowe fale i dał im zadanie zatopienia drewnianej łupiny, na której zuchwały żeglarz postanowił wygrać z żywiołem.

Dziś, kiedy wspominam tamte trzy dni i noce, jawią mi się trochę

jak z opowieści o Robinsonie. Były jednak do bólu prawdziwe. Przez 70 godzin niemal bez przerwy, jak zapomniany robot przy taśmie fabrycznej, pochylałem się, nabierałem wody z dna łodzi, by zawartość wiadra wylać za burtę. I znów, i jeszcze raz. A wszystko ze świadomością, że za chwilę następna fala poczęstuje mnie setkami litrów stoney wody, zimnej jak pocałunek Królowej Śniegu.

Odpocząć? Zasnąć? Zamknąć piekące od soli oczy? Tak, organizm tego właśnie się domagał. Wiedziałem jednak, że chwila słabości będzie podpisaniem aktu kapitulacji. Wyrokiem do natychmiastowego wykonania. Nie spałem więc, nie jadłem, piłem wodę z niewielkiego baniaka i pracowałem, pracowałem...

Trzy dni mogą się wydać wiecznością. Ale wygrałem swoją batalię. Wyczerpany, lecz zwycięski, zobaczyłem na horyzoncie kubański statek badawczy. Hura! Wygodna koja, ciepłe jedzenie, gwarancja powrotu do domu. Bo i oni mnie dostrzegli. Ale zaraz, zaraz... Jak ja będę patrzył sobie w oczy przez resztę życia? Rano ▶



Jacek Pałkiewicz odbiera włoskie wyróżnienie żeglarza roku Premio Slocum.

Samotny żeglarz po przybyciu do Georgetown w Gujanie.



► przy goleniu? Dzień dobry, Jacku, który stchórzyłeś wobec wyzwania? Zdziwionych marynarzy i badaczy poprosiłem jedynie o podanie szerokości i długości geograficznej – i popłynąłem dalej.

Tę decyzję dziś, z perspektywy półwiecza, mimo przeróżnych późniejszych doświadczeń na wielu kontynentach, muszę nazwać zwrotną, kozacką, jak mawiają niektórzy. To ona dziesięć dni później pozwoliła mi przybić do plaży w Georgetown w Gujanie i poprosić oniemiałego menedżera pięciogwiazdkowego hotelu o udostępnienie telefonu, bym mógł zadzwonić do urzędu imigracyjnego. Dostałem telefon i znacznie więcej, bo dyrekcja hotelu dostrzegła w mojej wyprawie trampolinę marketingową. Zafundowano mi apartament z wyżywieniem, a już wieczorem duża grupa dziennikarzy wypytywała mnie na konferencji prasowej o wrażenia pierwszego w historii dobrowolnego rozbitka, który przepłynął samotnie Atlantyk.

Aby zrozumieć wagę tego wydarzenia jako wytrychu otwierającego mi drzwi do świata wielkiej eksploracji, trzeba pojąć, że w połowie lat 70. obie Ameryki wraz z Europą wciąż były żądne przygody. Trzy dekady upłynęły już od kosmaru II wojny, ale w dorosłość wchodziło wówczas dopiero pierwsze pokolenie nieznaną wojennego upodlenia, biedy i niepewności. Karuzela powojennej radości wciąż się kręciła, w sile wieku byli ci, którzy odbudowywali świat ze zniszczeń.

Dzieciństwo spędziłem w prowincjonalnym miasteczku na Mazurach. Tam też ukształtował się mój charakter. Harcerstwo nauczyło mnie szacunku i podziwu dla natury, a pochłaniane książki rozbudziły głód świata. Zafascynowany bohaterami powieści wędrowałem ich śladami, wodząc palcem po wielkim, podświetlanym globusie. Nauczyłem się na pamięć całego atlasu geograficznego i śniłem o własnych wyprawach. W PRL zwykli ludzie nie mieli szans na wyjazd za granicę, ale ja nie rezygnowałem z prawa do wolności.

W cenie były wszelkie wyzwania, wyprawy, dalekie podróże, odkrycia, a idolami stawali się twardzi ludzie

rodem z książek Jacka Londona, radzący sobie z przeciwnościami, a nie lalkowate niunie z youtubowych kanałów. Nie dało się wykreować przygody za pomocą sztucznej inteligencji. Należało użyć inteligencji prawdziwej, aby dotrzeć w najdalsze zakątki. I to właśnie ludzkość doceniała.

Zaistniałem w liczących się mediach. Powiodło mi się. Byłem wolny,

Nie ma wyczynu bez ryzyka. Nie ma osiągnięć bez poświęcenia.

miałem „europejski” paszport i mogłem realizować moje credo: „Życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzam zrezygnować z niczego, co mi się należy”. Nie przyjmowałem do wiadomości, że coś jest niemożliwe, wszystko zatem, co robiłem, było zwykle wyzwaniem, projektem, wydawałoby się, nieosiągalnym i zawsze wymagało wysiłku i poświęcenia. Wytaczałem ścieżki przez wszystkie pustynie świata, penetrowałem dżungle Ameryki Południowej i pływałem dżonką po Jangcy. Niejednokrotnie realizowałem młodzieńcze marzenia w świecie niezmiennym od jego zarania. Tego, co wyniosłem z pasjonujących dzieł Roberta Stevensona czy Daniela Defoe, mogłem dotknąć własną ręką, zweryfikować prawdziwość historii wyrosłych z fantazji niektórych autorów. Obracałem się po wielokroć tam, dokąd nie dotarli podziwiani przeze mnie bohaterowie ich opowieści.

Żeby osiągnąć cel, zawsze, mimo trudności, parłem do przodu. I nigdy się nie poddawałem. A momentów najeżonych komplikacjami, kiedy wydawało mi się, że nie mam już siły, było naprawdę wiele. Zwykle wspomagał mnie optymizm i przede wszystkim hart ducha, który nie pozwalał mi na rezygnację mimo znikomych szans powodzenia. Wierzyłem, że wytrwałość, determinacja i wiara w sukces muszą być wynagrodzone.

Wspierała mnie w tym moja Linda. Swego czasu Beata Tyszkiewicz stwierdziła: „Gdyby nie ona, Jacek

nie byłby tym, kim teraz jest. Swoją mądrością, miłością i determinacją skrywaną w jego cieniu wyniosła go na wyżyny, bo za każdym sukcesem mężczyzny stoi wyjątkowa, mądra kobieta”. Linda zauroczyła też Jurka Owsiaka, który tak wspomina pierwszą wizytę w naszym domu: „Powiem wam tak. Może sobie mieć Jacek tysiąc pięćset dzid, maczet, przerażających masek ze swoich eskapad.

Może mieć foty z odlotowych wypraw, może mieć w słoiku cztery węże i wodę wprost ze źródeł Amazonki. Może jeszcze mieć tysiąc innych cudów, które zdobią mieszkanie niejednego globtrotera. Ale wszyscy oni, żeby nie wiem jak się natężali, jak by nie kombinowali, nie wyrwą Włochom takiej kobiety jak Linda, dla której każda wyprawa warta jest powrotu, a dla nas, słuchaczy i twoich gości – smaku kawy, którą byliśmy poczęstowani”.

Gdy się żyło na krawędzi, myśli nie raz i nie dwa biegły ku Stwórcy w poszukiwaniu wsparcia. To nie ja odkryłem, że religia jest potężnym

6 stycznia 1975 r. odbiłem pięciometrową szalupą z żaglem od mola portu w afrykańskim Dakarze.

narzędziem przetrwania, ale doświadczyłem tego osobiście podczas apokaliptycznej burzy piaskowej na pustyni Takla Makan w Chinach czy we wrocie, bagnistej dżungli Papui Zachodniej. W godzinach ciężkiej próby wiara była dla mnie cennym źródłem siły, otuchy i optymizmu. Bo jak podkreśla moja przyjaciółka Iwona Bogucka, optymista wierzy, że żyjemy w najlepszym ze światów, podczas gdy pesymista obawia się, że może to być prawda. Pobożność uskrzydlała mnie, sprawiała, że nie czułem się sam na polu walki. Psycholodzy potwierdzają, że modlitwa i ufność w Króla Niebios nie tylko podnosi na duchu, ułatwiając pokonanie przeciwności losu, ale na dodatek wzmacniają siłę fizyczną. Ja nazywam to ekwipunkiem ratunkowym rozbitka, pozwalającym mu utrzymać się na powierzchni wody.

40 dni na Atlantyku stało się też glejtem do założenia we Włoszech pierwszej niewojskowej szkoły przetrwania, na której szkolenia zapisywano się nawet z rocznym wyprzedzeniem.

O moim wyczynie milczała tylko polska prasa i oczywiście cały blok socjalistyczny. Jak bowiem można bić brawa facetowi, który pięć lat wcześniej uciekł z mlekiem i miodem płynącej ojczyzny i postanowił związać swoje życie ze słoneczną Italią, zarobkować na morzu, w kopalni diamentów w Afryce, pracować w wiodącej gazecie „Corriere della Sera”...

Dostałem wprawdzie pokątny dyplom, dokładnie wyróżnienie ławy przysięgłych nagrody „Rejs Roku” za morski wyczyn, ale lata całe musiały upłynąć, nim miałem prawo snuć opowieści w polskiej telewizji. Kto wie, może ówczesna negatywna, szemrana propaganda wryła się tak mocno w głowy uznanych składników polskich podróżników i badaczy, że odbiła się czkawką dwie dekady później, gdy odkryłem źródła

Amazonki? Odkrycie zatwierdziło Peruwiańskie Towarzystwo Geograficzne, uznał je cały świat – oprócz zawistnych polskich eksploratorów. Przykre, ale znamienne.

Tymczasem dziś, pół wieku po atlantyckiej odysei, świadom, że największe wyczyny mam już za sobą, że zgrozą odkryłem, że moja metryka jest potwornie zakurzona i nadszarpnięta zębem czasu. Przesuwające się szybko wskazówki zegara są znakiem, a zarazem przestrożą, że barwny film mojego życia zmierza do finału i nic nie zmieni tej gorzkiej prawdy. A ta świadomość? Zmusza do głębszej refleksji nad przemijaniem. Z odwiecznymi prawami natury nikt jeszcze nie wygrał. Mam jednak satysfakcję, że nie zmarnowałem wspaniałego daru, jakim jest życie.

Jacek Pałkiewicz